

ale zważać pan, że ciśnie mnie konieczność pospiechu.

— A jakżebyś śmiał zapomnieć! — oburzył się pan Żelechowski. — Natychmiast z Rady stanu pójde czynić poszukiwania za sumą. Może uda mi się choć część...

Pana Kleszewskiego w pierwszej chwili porwał gniew. Cóż ten okrucieństwo, nawet w całości wzięty, znaczy wobec ogromu jego klęski? A tu ten dłużnik, który ma u siebie jego własne pieniądze, będzie decydował, ile ma mu z nich oddać, ile właściwie ich potrzeba, jaka część mu wystarczy! Uczuł w każdym nerwie swoje prawo nad tym, zatroskanym tylko o swoje głupie sprawy, towarzyszem. Uczuł, że ma prawo zmusić go do zwrotu jakimkolwiek sposobem. Jednakże ten obraz, tyżący się jego własnej sprawy, zlał się wnet w jego oczach z obrazem ogólnym ludzkiej nędzoty, która była zwyczajnym polem jego refleksji.

— We mnie — pomyślał — przemówiła oto przyrodzona człowieczeństwu chęć uważania wszystkich przeciwności za krzywdę i obrazę własną. Pieniądze należą mi się słusznie, powinienem jednakże liczyć się nie tylko z materyjalną możnością, ale i z siłą ducha u tego mego dłużnika, któremu trwoga o własną skórę przetrąca niejako kości w jego dobrych chęciach i czyni go niezdolnym do wysiłku w mojej sprawie. Jego stan aż nadto jest zwykłym człowieczej ułomności, bym mógł się oburzać z dobrym sensem.

Chodzili tymczasem w okolicy podjazdu, gdzie było wejście na Radę stanu w zamku. Widzieli, jak się zjeżdżali i schodzili radcy. Pan Żelechowski co chwila wypowiadał smutnym głosem różne przypuszczenia, pełne troski. Przybywali też i inni zainteresowani.

— Uważacie waćpanowie, książę Józef nie przyjeżdża, — alarmował ich pan Żelechowski. — Coś w tem jest.

— Chodźmy do Lessla, — rzekł wkońcu pan Kleszewski, znużony.

Odrzucał się całe towarzystwo. Cukiernia była na Miodowej o parę kroków od zamku. Na straży pozostało dwu młodych oficyalistów z bylej dyrekcji żywności, którzy mieli przynieść nowiny reszcie, jak tylko jakie ich dojdą.

Jakoż nie upłynęła godzina, gdy przybiegli. Wybornie wszystko poszło. Komisya przyniosła projekt na Radę stanu. Książę Józef przybył bardzo gniewny i odrazu, krótko i ostro rzecz rozwiązał: „będziemy kpami” — rzekł — „jakeśmy wprzód byli, jeśli wojska nie będziemy opatrywać”. I Rada się zgodziła.

Ta relacja w uniesienie radości wprawiła słuchających.

— Będzie biuro dalej, jak było, będzie! — winszowano sobie na wszystkie strony. — Tyle, że przejdziemy pod Łuszczewskiego.

— I to od Nowego Roku!

Pan Kleszewski przeczekał wylew entuzjazmu. Rozwahał i on krótkie słowa księcia i medytował nad nimi z innego punktu.

— Tak to biją — myślał — pulsa tej nadziei w odrodzenie. Tak to myśli wódz, który robi przez nadzieję całopalenie narodu na rzecz wojska.

Przypominał mu się słowa poety o wszczepieniu bohaterstwa i pomyślał, że prąd ten gorący, jak war krwi, ogarnia wszystko. Ale czuł zarazem chłód swojej biedy i nędzy ludzkiej, i przypominał jeszcze raz podinspektorowi o długu.

Na drugi dzień otrzymał połowę sumy i nadzwyczajną ilość usprawiedliwień i żalów. Zastrzegł dalsze procenty dla syna od pozostałej reszty i następnego ranka puścił się po rozbitych drogach z powrotem do domu.

#### IV.

Świeca dopalała się w małym, ciężkim lichtarzu żelaznym. Ignacy Kleszewski opuścił strudzoną głowę na stół, na otwartą księgę rachunkową i na wpół drzemał. Roboty miał nawał, odkąd mrozy zelały, i nakazano wznowić prace ziemne koło twierdzy, mimo roztopów, zimna, błota, szarugi.

Brnąc nieraz po kolana w błocie, sieczone de-

szcem, suszone wiatrem, pracowały tysiączne rzesze na koronach i przyczółkach Modlina, gorliwie kończonych. Dozorujący nie mógł ani przysiąść.

Oficerów do nadzoru było mniej z powodu wytężonych przygotowań wojennych, które oddawna już głucho dając się uczuć po biurach i administracjach wojskowych, teraz, z wiosną 1812-go roku, wybuchły jak pożar długo tłumiony i odrazu objęły wszystko.

Zaciąg, opatrzenie i ćwiczenie świeżego rekruta, którego po kilkaset głów wchodziło w stare pułki, lustracja wszystkich broni, przygotowanie żywności, pociągów, szpitali, dźwignięcie całej armii na stopę wojenną, pochłaniało wszystkie siły.

Lustrację korpusu artylerji prowadził inspektor jej, generał Pelletier.

Kleszewski jeszcze w styczniu odebrał nominację na kapitana. Teraz więc do dozoru robót na szańcach, rachunków i raportów wieczornych, przybyło mu dodatkowe zajęcie z powodu lustracji, jako kapitan bowiem, musiał się drobiazgowo wyliczyć ze wszystkiego, co należało do jego kompanii.



— Waćpan nie znasz chyba naszego wybornego ludu, — zawołał gorąco poeta do urzędnika.

Po działach, koniach, zaprzęgach, wozach, przyszła kolej na sprzęty koszarowe, pościel, umundurowanie i bieliznę żołnierzy. Każdy grosz, który przeszedł przez jego ręce, musiał wykazać i sprawdzić w księgach. Robił te rachunki nocami. Nadedniem usypiał, zwykle na stole.

Świeca paliła się równym płomieniem, który od czasu do czasu zaczynał drgać gwałtownie, jakby galopował lub łkał, wpatrzony w dziwy nocne ciemnych kątów. Wydawał się mdły i żółty, a czworobok okna coraz jaśniejszej szarości. Kleszewski śnił, że strzelano z armaty, ale nie na wezwanie do pracy, tylko z powodu lustracji pułku. Strzały powtarzały się raz za razem. Wokół biegali wojskowi różnych stopni. Armaty grzmiały ciągle.

Nagle zbudził się. To wałono w okno. Ujrzał za nim znajome twarze i postaci kolegów. Zaśmiał się i jednym skokiem dopadłszy okna, otworzył je na oścież.

— Wartę nad księgami trzyma! — wołał Jaś Zakrzewski. — Nosem lustruje rachunki! Patrzcie go!

Odpowiedziawszy mu przyjaznym pchnięciem, Kleszewski wyskoczył za okno i witał kolegów pytaniami, zaczesując sobie szybko ręką włosy, zmiętzone snem.

— Cóż tam słyhać? Dobra droga? Byliście na teatrze?

Koledzy bowiem poprzedniego dnia, w święto, mieli urlop i pojechali do Warszawy konno. Po teatrze wracało się nocą do Modlina, aby ze świtem stanąć do roboty.

Zajechali przed jego kwaterę, odesłali konie i zostali we dwu, Zakrzewski ze Swiejkowskim. Kleszewskiego to nie zdziwiło.

— On nic nie wie — rzekł Swiejkowski, uśmiechnięty.

— Co się stało? — spytał młody kapitan żywo zajęty.

— Może chcesz spać? — dopytywał się Jaś troskliwie.

— No, no! — odpowiedział. — Dalej, mówcie, co wiecie, bo będzie zaraz świtało.

Swiejkowski już odkasliwał.

Ale Jaś go uprzedził.

— Wiesz, jak się nasze wojsko nazywa? Myślisz, wojsko Księstwa warszawskiego? Nie! — Oczy mu błyszczały, lśniły, w skupionem uniesieniu radości. —

Książę Józef dostał list ze sztabu cesarskiego...

— Jak przyjechała do Napoleona nasza deputacja, — przerwał mu Swiejkowski, — sześć lat temu, to przywitał ją: *Vous êtes les Varsoviens* — wiesz? Strzegli się innego słowa jak morowej zarazy. A dziś pisze: „polskie wojsko będzie stanowiło korpus piąty wielkiej armii”. Rozumiesz? — zawołał.

— Tak samo było i w czasie wojny z Austrią, — rzekł Kleszewski.

— Ale teraz! Teraz! — zawołał Swiejkowski. — Przed tą wojną! Wiesz, co to znaczy?

Głos załamał mu się ze wzruszenia. Wszyscy trzej umilkli. Niebo poróżniało na wschodzie delikatnie. Jakiś wiew słaby ciągnął siwą we mgle porannej ziemią.

Tak — odezwał się Kleszewski, patrząc w jutrzeńkę. — Teraz, to co innego. Teraz już się stanie.

Milczeli w skupieniu jakby religijnem.

Zakrzewski zaczął mówić jak pa-  
cierz:

Święta miłości kochanej ojezyny,  
Czuja cę tylko umysł pocziwe.  
Dla ciebie zjadł smakują trucizny,  
Dla ciebie więzy, pęta niezeliwe.  
Kształcisz kactwo przez szlachetne blizny,  
Gnieździsz w umyśle rozkosze prawdziwe.  
Byle cię można wspomódz, byle wspierać,  
Nie żał żyć w nędzy, nie żał i umierać...

Słuchali jak modlitwy. Była też to modlitwa szkoły rycerskiej od samego jej założenia. Co rano odma-  
wiali ją uczniowie, ich to był pacierz,  
godło i hasło, wskaźnik na całe życie.

Kleszewski z zajęciem patrzył na wschód, na jego czerwoność krwawą na widnokręgu, na przecudną, różaną smugę wyżej, na złoto-zielonkawą ponad nią tryskającą na niebo aureolę. Słowa hymnu, wryte od tak dawna w każde włókno myśli, uczucia, w samą krew i życie, wzruszyły go jakimś szczęściem, które przyszło z modlitwą i poila i napępiała go swem przeczystym światłem.

Nagle huknął strzał armatni.

— Wojska badeńskie, wirtemburskie, bawarskie, już przyszły do Saksonii, — powiedział spieszenie Swiejkowski, — Drezno czeka na Napoleona.

— A nasze, całe ma stanąć za Warszawą, — rzekł Jaś Zakrzewski. — W okręgu czterech mil za miastem.

— Czterdzieści tysięcy naszego, pomyśl! — zawołał Swiejkowski, a oczy mu się śmiały. — Marszałek Davout pierwszy przyjdzie do nas ze swoim korpusem. Potem wszyscy inni i sam Napoleon. Pięćset wozów bulionu!

— Dwadzieścia tysięcy nowego rekruta! — dodał jeszcze Jaś. — Powiadaj ci, ruszyć się nie można w Warszawie, takie tego tłumy po ulicach. No, bywaj zdrów, bywaj zdrów!

Pobiegli obaj do roboty.

(Ciąg dalszy nastąpi.)